



**WIELE MARZEŃ
I TROCHĘ FRUSTRACJI**

Z prof. Maciejem Żyliczem, prezesem Fundacji na rzecz Nauki Polskiej w latach 2005–2025, rozmawia Anna Mateja

ANNA MATEJA: Dwadzieścia lat temu został Pan prezesem i...

MACIEJ ŻYLICZ: I byłem nim, jak to dzisiaj oceniam, o dekadę za długo. Obawiałem się jednak, po wyborach w 2015 roku, że niezależność Fundacji może być zagrożona, a zmiana zarządu stworzy okazję do ewentualnej ingerencji politycznej w jego skład i działalność FNP.

Istniało takie ryzyko? Prof. Maciej W. Grabski, prezes w latach 1992–2005, i Pan zrobiliście chyba wszystko, by uczynić Fundację odporną na zakusy polityków.

Uniezależnienie FNP od administracji państwowej było jednym z pierwszych wyzwań podjętych przez prof. Grabskiego, który został prezesem Fundacji rok po jej powstaniu. Zagwarantować ją mogła wyłącznie Rada Fundacji, czyli organ nadzorujący działalność i powołujący zarząd. Tymczasem w pierwszych latach działalności FNP zasiadali w Radzie przedstawiciele kilku ministerstw i przewodniczący Komisji Komitetu Badań Naukowych. Długi i niepozbawiony pułapek proces wydobywania Fundacji spod wpływu kolejnych ministrów zakończył się definitywnie dopiero w 2014 roku pełnym rozdziałem FNP i ministerstwa nauki.

W takim razie później powinno być już z górki.

Ale nie było, bo w 2007 roku minister skarbu przedstawił premierowi wniosek w sprawie likwidacji FNP. Kiedy

zorientował się, że wedle ustawy o fundacjach może to zrobić wyłącznie sąd powszechny, przedstawił projekt jej nowelizacji, która przewidywała obowiązek wprowadzenia przedstawicieli jego resortu do rad fundacji powstałych dzięki majątkowi Skarbu Państwa. Operacja, w wyniku której na wybór prezesa FNP wpływaliby polityczni nominaci, była konsekwencją naszego sporu ze wspomnianym ministerstwem, które sprzeciwiało się wypłacie Fundacji środków pochodzących z prywatyzacji spółek państwowych. Dwa procent ich wartości, na mocy ustawy z marca 2000 roku, miało być przeznaczone na wspieranie nauki. Tymczasem w 2004 roku, podczas przeprowadzonego w Sejmie nocnego głosowania znowelizowano ustawę prywatyzacyjną w taki sposób, że wypłacenie FNP blisko 250 milionów złotych, które pochodziły ze sprzedaży akcji banku PKO BP, stało się niemożliwe. Tak prawnicy, jak kontrolerzy NIK przygotowujący coroczny raport pokontrolny z wykonania budżetu, potwierdzili, że niewypłacenie FNP przez Ministerstwo Skarbu spornych sum było niezgodne z prawem. Ponieważ negocjacje prowadzone przez Fundację nie dały rezultatu, a zaniechanie odzyskania tych środków naraziłoby nas na zarzut niegospodarności, pozwaliśmy resort do sądu.

Minister uznał FNP za dawną instytucję budżetową, bo jej kapitałem założycielskim było 95 milionów złotych przekazane z Centralnego Funduszu Rozwoju Nauki i Technologii, którego likwidację przewidywały tzw. ustawy Leszka Balcerowicza z 1989 roku. Fundusz gromadził obowiązkowe wpłaty przedsiębiorstw państwowych w wysokości 1,2 proc. wartości sprzedanej produkcji.

To prawda, ale wspomniany Fundusz Rozwoju jednostką budżetową nie był, a naszym fundatorem jest Skarb Państwa. Co oczywiste, przekazany majątek z chwilą wpisania FNP do rejestru i uzyskania osobowości prawnej, stawał

się jej własnością, nie Skarbu Państwa. Podważanie tego stanu rzeczy wynika, jak przypuszczam, z wciąż obecnego w pamięci urzędów publicznych niezrozumienia statusu fundacji, jako instytucji niezależnej, której środki na działalność pochodzą z nadania. W 2007 roku nasze kłopoty, wynikające z działań władzy obliczonych na przejęcie FNP, skończyły się tylko dlatego, że „trzeci bliźniak” – czyli nieżyjący już Ludwik Dorn, wówczas Marszałek Sejmu – nie podzielał stanowiska rządu w tej sprawie i projekt nowelizacji ustawy o fundacjach schował w zamrażarce legislacyjnej. Osiem lat po tych wydarzeniach, kiedy mijała pierwsza dekada mojej prezesury, nie miałem pewności, czy po mojej rezygnacji rządzący nie spróbują kolejny raz przejąć władzy w FNP albo w inny sposób podważać jej niezależności.

Do polityków jeszcze wrócimy. Obejmował Pan stanowisko prezesa FNP w 2005 roku, kiedy Polska dopiero co weszła do UE, portale społecznościowe raczkowały w dziedzinie dezinformacji, a rząd przeznaczał na naukę rocznie niewiele ponad 0,5 proc. PKB. Po godzinach pracy w Fundacji kierował Pan zakładem w Międzynarodowym Instytucie Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie. Jakie działania Fundacji wyrosły z takiego połączenia?

Na przykład program HOMING (kontynuowany później pod innymi nazwami, ze zmienianą ofertą wsparcia) – pierwszy zorganizowany za mojej prezesury. Przez lata pracy naukowej nie raz widziałem, że barierą utrudniającą młodym ludziom wejście do rodzimej nauki jest znalezienie w niej punktu zaczepienia po stażu zagranicznym. Oni wracali napakowani wiedzą i pomysłami, a na miejscu czekało na nich, w najlepszym przypadku, to samo biurko niesamodzielnego pracownika naukowego, bo za granicą nie mogli zdobyć wymaganej w Polsce habilitacji (w większości krajów rozwiniętych taki stopień naukowy nie istnieje).

Posiadali jednak znakomity dorobek, tyle że w Polsce często nikt ich o to nie pytał, tylko obciążał dydaktyką. Program HOMING zapewniał sute stypendia pozwalające zachować wysokość osiągniętych za granicą dochodów i niewielką część grantową przeznaczoną na badania naukowe, dzięki czemu mogli dokończyć prowadzone wcześniej prace. Możliwe też było zatrudnienie studenta bądź doktoranta, co z kolei dawało szansę sprawdzenia swojej gotowości do założenia własnego zespołu badawczego.

Celem programu FOCUS – kolejnego wymyślnego na początku mojej prezesury – było pomaganie młodym naukowcom w stworzeniu pierwszego zespołu i pierwszego laboratorium. Jak karkołomne jest przebijanie się przez uczelnianą hierarchię, by tego dokonać, nie posiadając habilitacji ani osadzenia w strukturze, przekonałem się na własnej skórze w 1984 roku po powrocie z uniwersytetu w Utah i ze Stanforda. Nie miałem wątpliwości, że takie wsparcie jest potrzebne, bo hierarchie na uczelniach, mocno ograniczające działania młodych osób, istnieją do teraz. Czas wystartowania tego programu w 2006 roku był idealny, bo wtedy po raz pierwszy, m.in. uczelnie, mogły aplikować o środki unijne. Środki z FOCUS-a stały się więc dla młodych uczonych wkładem własnym, niezbędnym przy składaniu tego rodzaju wniosków.

Za sprawą środków unijnych polscy naukowcy zyskali możliwości finansowania badań, których nie miało żadne inne pokolenie.

Chwycili Pana Boga za nogi – i nie ma w tym sformułowaniu cienia przesady. Najpierw, co roku wybieraliśmy w FNP dziedzinę, której adepci mogli liczyć na dofinansowanie w ramach programu FOCUS. Z czasem otworzyliśmy go dla wszystkich dziedzin. Nie miało też znaczenia, czy aplikujący badacze pracowali w Polsce, czy wracali z zagranicznego stażu podoktorskiego. Tak narodził się



FIRST TEAM (program finansowany już nie ze środków własnych FNP, ale z pozyskanych przez nas funduszy unijnych), którego ówcześni laureaci otrzymują obecnie Nagrody FNP albo wyróżnienia Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych (ERC), czyli warte kilka milionów euro granty. Z kolei za sprawą programu WELCOME, nowatorskiego w momencie uruchamiania kilkanaście lat temu, sprowadziliśmy z zagranicy wielu uczonych, mimo że mieli świetnie rozwijające się kariery poza Polską.

Doświadczenia zebrane podczas realizacji tych programów pozwoliły nam opracować najbardziej ambitne w portfolio FNP przedsięwzięcie, którego celem jest tworzenie centrów doskonałości naukowej – Międzynarodowych Agend Badawczych – w których będą pracować wyłonieni w konkursach uczeni z Polski i zagranicy. Opracowanie tego projektu pochłonęło masę czasu i energii paru moich koleżanek w FNP i mojej, a było możliwe dzięki pozyskaniu przez nas środków unijnych: z Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój i z Funduszy Europejskich dla Nowoczesnej Gospodarki. Konkursy na tworzenie MAB-ów przeprowadzaliśmy w języku angielskim i nie mogło być inaczej, skoro założeniem ich powstania jest ściąganie do Polski liderów, którzy potrafią prowadzić badania na najwyższym światowym poziomie. Aż Przemysław Czarnek, minister edukacji i nauki w latach 2020–2023, wprowadził nową interpretację ustawy o języku polskim...

Bo uznał, że obowiązek składania wniosków o grant w polskiej instytucji wyłącznie w języku angielskim jest dla rodzimego naukowca upokarzający.

Nasi wnioskodawcy wypełniali więc wnioski po polsku w części dotyczącej spraw administracyjnych, a po angielsku opisywali kwestie merytoryczne. Zmiana, która wynikała jedynie z odmiennej interpretacji tych samych przepisów, bardzo skomplikowała nam życie, bo



w konkursach FNP startują także badacze z innych krajów. Z kolei w panelach konkursowych oceniających wnioski uczestniczą najlepsi w swoich dziedzinach fachowcy z całego świata (w tym nobliści), więc językiem dyskusji jest, oczywiście, angielski. Czasami otrzymujemy zresztą wnioski dotyczące tematyki, w której nie ma polskich ekspertów albo jest ich niewielu, siłą rzeczy łatwo wtedy o konflikt interesów z wnioskodawcą i pozyskanie ekspertów za granicą staje się jedynym wyjściem. Mieliśmy nadzieję, że urzędnicy wycofają się z tych zmian po wyborach w 2023 roku, tymczasem wprowadzili jeszcze bardziej rygorystyczną interpretację przepisów. Teraz całe wnioski trzeba wypełniać wyłącznie w języku polskim.

Założę się, że poszedł Pan do ministerstwa i zapytał: „Dlaczego?”.

Jak najbardziej, i to do każdego, które mogło wpłynąć na kształt odpowiedniej ustawy. Taka była moja rola. Jeden wiceminister zgodził się, że umiędzynarodowienie polskiej nauki jest konieczne. Drugi stwierdził, że największym błędem Jarosława Gowina, ministra nauki i szkolnictwa wyższego w latach 2015–2020, było podjęcie działań zmierzających do umiędzynarodowienia rodzimej nauki (to, rzecz jasna, mocno dyskusyjna teza). Trzeci wiceminister w zasadzie poparł nasze stanowisko, ale oznajmił, że w podległej mu agencji wnioski zawsze będą pisane tylko po polsku, bo inaczej zawarte w nich pomysły ukradną zagraniczni naukowcy. Przez dwadzieścia lat mojej prezesury w FNP nie zdarzył się przypadek kradzieży pomysłu przez recenzenta, choć oczywiście zawsze jest to możliwe. Dlaczego jednak, z uwagi na niewiele znaczące ryzyko, zmieniana jest cała procedura? Nadzieję daje inicjatywa Senatu, który zamierza znowelizować ustawę o języku polskim, gwarantując możliwość wypełniania wniosków grantowych w języku angielskim, jeśli instytucja rozdzielająca fundusze będzie widziała taką potrzebę.

Jak rozmawiać o wspieraniu nauki z ministrami, którzy wzajemnie sobie przeczą?

Ważne, żeby w ogóle rozmawiać. Nie można się zniechęcać, widząc urzędników, którzy zachowują się niczym strażacy gaszący pożary – zajmują się bowiem wyłącznie pilnymi sprawami, więc brakuje im czasu na kwestie naprawę ważne. Gdybyśmy w FNP zaniechali rozmów, uważając, że nie ma przestrzeni na działania przekraczające tu i teraz, prawdopodobnie nigdy nie doszłoby do powstania, np. Narodowego Centrum Nauki. Michał Seweryński, minister edukacji i nauki w latach 2005–2007, po utworzeniu Narodowego Centrum Badań i Rozwoju uważał, że nie ma już w Polsce miejsca dla kolejnej instytucji tego rodzaju. Zaprosiłem go więc do dyskusji przed kamerami telewizyjnymi z udziałem szefów instytucji finansujących badania podstawowe w Niemczech i w Szwajcarii. Minister Seweryński, nie obawiając się konfrontacji ani rozmowy w obcym języku, zaproszenie przyjął. Co więcej: zmienił zdanie w trakcie debaty! Publicznie zadeklarował utworzenie rządowej agencji wspierającej badania podstawowe, w której o podziale środków decydują nie urzędnicy, ale naukowcy. Z doświadczenia, np. ERC istniejącej w Brukseli od 2007 roku, wiadomo było bowiem, że dzięki temu publiczne pieniądze wydawane są najbardziej efektywnie, a ryzyko korupcji pozostaje niewielkie.

Co pokazały koleje losu NCBR sprzed paru lat, który m.in. finansował pseudonaukowe projekty ludzi, którzy nigdy nie uprawiali nauki.

Tymczasem NCN od piętnastu lat działa bez zarzutu i z dużym pożytkiem dla nauki. Co prawda minister Seweryński niedługo po swojej deklaracji podał się wraz z rządem do dymisji, bo skrócono kadencję parlamentu, jednak instytucja powstała, choć dopiero w 2010 roku. Jego następczyni, Barbara Kudrycka, podjęła polityczne ryzyko

wyprowadzenia konkursowego podziału środków na badania podstawowe poza ministerstwo i zaproponowała ulokowanie NCN w Krakowie.

Wróćmy do planów, które udało mi się w FNP zrealizować: zorganizowaliśmy INNOWATORA, pilotażowy program tworzenia przedsiębiorstw typu start-up wokół uniwersytetów i instytutów PAN, podejmując się tym samym nietatwego zadania łączenia nauki z gospodarką. Z prawie sześćdziesięciu pomysłów, przedstawionych wtedy Fundacji, po kilku etapach konkursu wybraliśmy siedem, z których powstały świetnie działające firmy. Jedną z nich jest Medicalgorithmics. Przedsiębiorstwo, założone przez Marka Dziubińskiego dla opracowywania przy pomocy sztucznej inteligencji i nieinwazyjnych metod badań rozwiązań użytecznych w diagnostyce serca, jest dzisiaj wartą kilkaset milionów złotych spółką giełdową. Międzynarodowy sukces osiągnęła również firma Apeiron Synthesis stworzona przez Michała Bieńka, byłego doktoranta Karola Greli, zajmująca się metatezą olefin dla przemysłu. Nauczyliśmy się też, że starsi profesorowie zaangażowani w tworzenie start-up-ów powinni ograniczyć się do wyznaczenia dużo młodszego współpracownika, najlepiej doktoranta, by poprowadził przedsięwzięcie. Starsze osoby – sam również do nich się zaliczam! – nie zawsze rozumieją, o co w tym chodzi.

Ale wygłaszają autorytatywne sądy, co utrudnia współpracę i swobodną wymianę myśli?

Tak właśnie. Gdy finiszowaliśmy z programem INNOWATOR żartowaliśmy, że trzeba pomyśleć o przyznawaniu stypendiów profesorom, którzy zrezygnują z wchodzenia do rad nadzorczych firm powstałych dzięki pomysłom wypracowanym przez ich zespoły naukowe. Nasze intuicje potwierdził eksperyment przeprowadzony w programie TEAM, w ramach którego wspieraliśmy uczonych w tworzeniu

zespołów podejmujących ambitne idee badawcze. Otóż stworzyliśmy go dla wszystkich badaczy ze stopniem doktora (także z zagranicy, pod warunkiem, że planowali realizację projektu w Polsce). W efekcie, w tym samym konkursie, o fundusze starali się młodzi doktorzy i dojrzały profesorowie. Po przeprowadzeniu konkursów, w których wnioski oceniali niezależni eksperci uznani w środowisku międzynarodowym, okazało się, że 40 proc. laureatów TEAM-u to osoby w wieku 40 lat i młodsze.

Prof. Jacek Jemielity, laureat TEAM-u i Nagrody FNP, którego pionierskie badania dotyczące możliwości terapeutycznych mRNA znacząco przyczyniły się do opracowania szczepionki na COVID-19, jako doktorant otrzymywał 800 złotych. W Warszawie przeto mu wieków nawet na kasie w markecie ludzie zarabiali więcej. Fundacja, chyba jako pierwsza w Polsce instytucja wspierająca naukę stwierdziła, że młodzi ludzie mają prawo do wysokiego stypendium i ponad trzy dekady temu uruchomiła program START dla uczonych przed trzydziestym rokiem życia, finansując godziwe dla nich stypendia. Kadra profesorska nie od razu się z tym pogodziła.

Konferencja Rektorów Uniwersytetów Polskich zarzuciła nam, że zniszczyliśmy ich siatkę płac, bo stypendyści START-u i innych programów FNP zarabiali więcej, niż adiunkci czy nawet profesorowie. Powtarzałem nie raz: podwyższając stypendia doktoranckie rozpoczęliśmy proces, którego wynikiem miał być wzrost zarobków także starszych pracowników. I tak się stało. Dzisiaj zbieramy podobne cięgi za ustawienie na europejskim poziomie pensji szefów MAB-ów czy laureatów programu FIRST TEAM, choć obliczyliśmy je w odniesieniu do danych OECD: na podstawie średnich zarobków osób z porównywalnym wykształceniem, które zajmują podobne stanowiska



w krajach członkowskich UE. Bo do tego powinniśmy aspirować, a nie do utrzymania naszych standardów.

Wspomnianą już ministkę Barbarę Kudrycką FNP namówiła do utworzenia Diamentowego Grantu, przeznaczonego dla garstki utalentowanych absolwentów studiów pierwszego stopnia, którzy chcą pracować nad doktoratem już przed magisterką. Zgodziła się, mimo dezaprobaty tej części środowiska, która nie dostrzegająca, że ta inicjatywa nie zaburza działania obowiązujących procedur, bo dotyczy tylko najlepszych. W USA czy w Wielkiej Brytanii od lat można obronić doktorat nie posiadając tytułu magistra.

Realizacja takich pomysłów unieważnia jednak egalitaryzm na rzecz elitaryzmu. Skąd w polskiej nauce tak silne przywiązanie do równości? Mimo że w nauce być jej nie może, bo najlepsi zawsze będą tylko niektórzy, za to wszyscy skorzystają na ich wspieraniu.

Przyczyn takiego myślenia nie znam, ale dla mnie to przejaw populizmu – tego samego, który daje o sobie znać, np. podczas wyborów rektora czy dziekana, kiedy niekoniecznie wybiera się osoby dobre naukowo i niezależnie myślące. Parę lat temu Uniwersytet Jagielloński przeprowadził, niezależnie od ocen parametrycznych, indywidualną ocenę naukowców, według zasad ustalonych przez wydziały. Reguła była jedna: stałość kryteriów w trakcie ewaluacji. Wyniki pokazały, że jedna trzecia zatrudnionych pracuje znakomicie naukowo. Jedna trzecia nie pracuje, ale ma potencjał, więc gdyby im stworzyć warunki, na pewno by z nich skorzystali. Natomiast jedna trzecia naukowców UJ – przypominam: jednej z dwóch najlepszych szkół wyższych w kraju – nie pracuje naukowo i nie zamierza tego zmieniać.



Jakim cudem takim ludziom udało się zachować tam zatrudnienie?

Dobre pytanie. Biorąc pod uwagę, że ocena indywidualnych osiągnięć nauczycieli akademickich w naszych uczelniach właściwie nie istnieje, przypuszczam, że sytuacja jest tam podobna do opisanej albo gorsza. Na bylejakości, którą promuje obowiązujący system oceny parametrycznej jednostek (lub dyscyplin naukowych), korzystają przede wszystkim słabsze z nich. Im on nie zagrozi, bo nawet jeśli pracownicy tych jednostek nigdy nie napiszą artykułu dla liczącego się w danej dziedzinie pisma, wycenianego np. na 200 punktów, ci uciętą wystarczającą ich liczbę, publikując na mniej liczących się łamach prace nic nie wnoszące do nauki. Taki absurd pozostawił nam minister Czarnek: trzy prace opublikowane w polskich czasopismach, których prawie nikt nie cytuje, pod względem uzyskanych punktów mogą znaczyć tyle, ile np. zamieszczenie artykułu w „Nature”. Tyle, że dobrej nauki w taki sposób się nie tworzy. Tu potrzeba osób twórczych i odważnych, a nie lobby słabeuszów.

Z naszych danych wynika, że laureaci programów FNP, stanowiący nie więcej niż 1 proc. polskich naukowców, są autorami 25 proc. najczęściej cytowanych prac opublikowanych z polską afiliacją. To kolejna odpowiedź na pytanie, dlaczego w nauce nie ma miejsca na egalitaryzm. Grantów czy stypendiów nie można rozdzielać „demokratycznie”, jak chcieliby niektórzy. Pomagać trzeba najlepszym, bo tylko takie działania w nauce dają efekt. Temu ma sprzyjać Inicjatywa Doskonałości – Uczelnie Badawcze, którą wprowadził minister Gowin. Fundacja wspierała go w realizacji tego pomysłu kontaktami międzynarodowymi przy tworzeniu jury konkursu i pomocą przy opracowywaniu jego kryteriów. Na podstawie ocen ekspertów z zagranicy wybrano dziesięć najlepszych uczelni badawczych w Polsce. To był przewrót kopernikański!

Dla kogo?

Dla rektorów szkół wyższych, którzy dotychczas przekonywali, że wszystkie uczelnie są u nas świetne i wymagają finansowania na podobnym poziomie. Tymczasem okazało się, że można wyłonić w transparentnym konkursie dziesięć w danym momencie najlepszych. W ten sposób jednostki średniej wielkości, np. Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu czy Politechnika Gdańska, otrzymały dodatkowe środki na prowadzenie badań, które mają szansę okazać się przełomowe w danej dziedzinie. Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu za te ekstra pieniądze buduje centra doskonałości naukowej. Inni wprowadzili system mini grantów dla młodych pracowników. Dzięki takim działaniom mamy szansę zatrzymać albo pozyskać najbardziej utalentowanych ludzi, którzy, o ile nie znajdą w Polsce miejsc do uprawiania nauki na poziomie porównywalnym z poznany za granicą lub w innych branżach, mogą do kraju nie wrócić albo zrezygnować z uprawiania nauki. Bez wsparcia skazujemy więc rodzime źródło talentów na powolne wysychanie i to w sytuacji, kiedy nie mamy co liczyć, z racji charakteru polityki wizowej, na dopływy z zewnątrz.

W 2023 roku w polskim budżecie przeznaczono 1,5 proc. PKB na rozwój nauki. To o cały procent więcej, niż dwie dekady temu, ale wciąż mniej niż 2,2 proc. obecnej unijnej średniej. Jaka nauka powstaje w warunkach ustawicznego niedoboru pieniędzy na jej rozwój?

Podam inne liczby: nie 1,5 proc., ale 1,1 proc. PKB – tyle obecnie Polska wydaje rocznie na naukę. Kiedy wchodziliśmy do UE nasze wydatki na naukę podzielone przez liczbę mieszkańców, dawały około 17 euro na każdego z nich rocznie. Teraz to jest 76 euro, tyle że średnia unijna zbliża się do 200 euro, a liderzy, np. Dania, wydają na

naukę w przeliczeniu na jednego mieszkańca kraju powyżej 400 euro rocznie. Jak widać, jesteśmy potwornie niedofinansowani, dlatego odpowiem przekornie na zadane pytanie: cieszę się, że w budżecie na 2026 rok zaplanowano dofinansowanie NCN kwotą 3 miliardów złotych. Kraje na dorobku, w tym Polska, ulegają bowiem złudzeniu, że naukę można uprawiać na skróty, wydając pieniądze na wykorzystanie tej wiedzy, którą już mamy. To wyrzucanie pieniędzy w błoto, bo inwestować należy w badania podstawowe i nowe technologie, które mają szansę doprowadzić do globalnego przełomu w danej dziedzinie. Jeżeli w trakcie postępowania konkursowego w FNP słyszałem od aplikujących: „Po raz pierwszy wprowadzimy w Polsce...”, odpowiadałem: „Dziękuję, w nauce chodzi o coś więcej”.

A gdyby premier – choć nie mam wielkiej wiary w zaistnienie takiego zdarzenia – poprosił Pana o wskazanie tematów, w których polscy naukowcy są świetni, więc warto w nie zainwestować, co by usłyszał?

Z premierami co prawda o tym nie rozmawiałem, ale paru ministrów zadało mi już to pytanie w różnych wariantach. Moje sugestie nigdy nie doczekały się odpowiedzi ani realizacji. Za każdym razem odpowiadałem, że należy wesprzeć finansowo uczonych, którzy robią dobrą naukę, bo mają dokonania, które okazały się przełomowe w danej dyscyplinie, albo mają osiągnięcia, które dają na to szansę. Wskazówek można szukać, np. w raportach australijskiego *think tanku* Australian Strategic Policy Institute, który analizuje w najczęściej cytowanych pracach udział poszczególnych krajów pod kątem czterdziestu czterech technologii przyszłości i identyfikuje zespoły naukowe, zajmujące się tymi tematami. Kto dzierży pateczkę pierwszeństwa w tych zestawieniach, najpewniej za dekadę ma szansę być najlepszy na świecie.

Polscy uczeni, zaangażowani w prace nad niektórymi technologiami, znajdują się w pierwszej dziesiątce tego elitarnego konkursu. Mimo niedofinansowania, mają liczące się na świecie osiągnięcia w kryptografii kwantowej (czyli kodowaniu i przesyłaniu informacji), w niektórych sub-technologiach dotyczących sztucznej inteligencji, w nauce o nowych materiałach. Dodatkowe środki zainwestowane przez państwo w te obszary badań zwróciłyby się z nawiązką.

Czy dopadała Pana frustracja wywołana koniecznością powtarzania wciąż tego samego kolejnym garniturom urzędników?

„Teraz usłyszymy wykład marzyciela” – zapowiedziano kiedyś moje wystąpienie, co spowodowało mnie do zapytania siebie, na czym polega to moje marzycielstwo? Otóż bardzo chciałbym, aby w polskiej nauce było normalnie! Tylko tyle i aż tyle. Nie ma co ukrywać, że za sprawą FNP, która od ponad trzydziestu lat usiłuje wprowadzić do polskiej nauki standardy inne niż obowiązujące, globalnie udało się zmienić niewiele. Wciąż brakuje kultury jakości, czyli doceniania ludzi za to, że są dobrzy w tym, czym się zajmują. Istnieje za to zawiść.

„Pana pracownik opublikował świetną pracę w »Nature«. Czy nie myślał Pan o nagrodzeniu go za taki sukces?” – zasugerowałem kiedyś szefowi pewnej jednostki badawczej. „Nie praktykujemy takich rozwiązań” – odpowiedział, a wiem, że przez całe swoje zawodowe życie nie opublikował choćby jednego artykułu na porównywalnie prestiżowych łamach.



Bo też parametryzacja nie jest lekiem na wszystko, co złe w polskiej nauce, choćby dlatego, że nie sposób oceniać naukowca wyłącznie przez pryzmat tego, gdzie publikuje.

Słusznie, bo każdy parametr jest o tyle efektywny, o ile motywuje, a nie deprawuje. Podczas dyskusji prowadzonych w 2023 roku w szerokim gronie przedstawicieli polskiego środowiska naukowego, doszliśmy do wniosku, że ocenę poszczególnych jednostek, od której zależałby podział budżetu przeznaczonego na naukę, można przeprowadzić bez oceny parametrycznej. O ile kryteria będą niezależne od administracji uczelni i od polityków.

Każda z jednostek, jeśli jej statutowym celem jest prowadzenie badań, otrzymywałaby w opracowanym przez nas systemie, jako podstawę finansowania, dotację proporcjonalną do liczby zatrudnianych naukowców, z uwzględnieniem kosztów badań. To niezbędne minimum powiększałoby się o „dotację rozwojową” w wysokości proporcjonalnej do grantów pozyskanych przez jej pracowników w takich miejscach, jak ERC, NCN, Agencja Badań Medycznych czy FNP, gdzie wnioski o dofinansowanie oceniają eksperci znajdujący się przynajmniej na tym samym poziomie naukowym, co wnioskodawca. Placówki, które w przeliczeniu na jednego pracownika osiągałyby najwyższą „dotację rozwojową”, poddając się opisanej powyżej ocenie *peer review*, tyle że zespołu ekspertów międzynarodowych, mogłyby ubiegać się o trzeci stopień dofinansowania. Najlepsi pozyskiwaliby tym sposobem dodatkowe znaczące fundusze na realizację ambitnych planów, do wydania w wyznaczonym czasie.

Przypomnę, że 70 proc. polskich naukowców w ogóle nie występuje o jakiegokolwiek granty na badania.

I to jest sedno sprawy. Jeżeli jeszcze założymy, opierając się na badaniach z UJ, że blisko 60 proc. polskich



naukowców z różnych przyczyn nie uprawia nauki, nie mają oni szans na otrzymanie grantu w agencjach przyznających środki w konkursach odwołujących się do kryteriów jakości naukowej. Opisana przeze mnie „dotacja rozwojowa” powinna jednak zachęcić kierownictwa instytutów badawczych do zatrudniania naukowców, którzy radzą sobie w konkurencyjnym środowisku, pozyskując granty. System finansowania nauki w Polsce potrzebuje równowagi, którą w moim przekonaniu osiągnęlibyśmy, gdyby jedną połowę środków budżetowych przeznaczano na finansowanie działalności statutowej jednostek, a drugą zasilało system grantowy.

Wróćmy do polityki, co obiecałam na początku wywiadu: jakie talenty trzeba w sobie uruchomić, żeby przeżyć ośmiu ministrów nauki? Tylu się ich przytrafiło, Panu i nam, w ciągu minionych dwóch dekad.

Dzięki cierpliwości i wynikającej z niej gotowości do rozmowy, mimo wszystko udało się wspólnie zrobić coś pożytecznego. Bywała ona wystawiana na próbę, zwłaszcza, kiedy po raz kolejny słyszałem od urzędnika z ministerstwa arbitralne stwierdzenia dotyczące, np. zasad oceny wniosków grantowych. Z całym szacunkiem, ale to my, organizacja od ponad trzydziestu lat wypracowująca standardy w konkursowym finansowaniu badań, znamy się na tym lepiej. Nie zliczę więc, ile razy musiałem powtarzać, że projektu naukowego nie ocenia jeden ekspert w systemie zero-jedynkowym: dobry – zły, jak to było oczekiwane. Potrzeba dyskusji kilku albo i kilkunastu ekspertów, by uczciwie wybrać projekt zasługujący na przyznanie publicznych pieniędzy. Przeprowadzając konkursy w języku angielskim, kiedy korzystaliśmy z tworzonej przez lata bazy naszych recenzentów zagranicznych, zwycięskie wnioski oceniało od dziesięciu do piętnastu z nich!

Dyplomacja i spokój ducha też były w cenie, zwłaszcza, jeśli stanowisko obejmowały osoby przypadkowe. Doceniam jednak, że mogłem współpracować z ministrami, z którymi było o czym rozmawiać, a ze spotkań z nimi wynikały dobre rzeczy. Z wiekiem powinno być we mnie więcej spokoju ducha tymczasem, przyznaję, zdarza mi się...

Trzaskać ministerialnymi drzwiami? Nie wierzę.

Co to, to nie! Z domu wyniosłem kindersztubę, w tym trzymanie emocji na wodzy. Ale, po prostu, szlag mnie trafił, bo ile razy można tłumaczyć to samo? Sfrustrowany, przypominałem sobie słowa Einsteina: „Tylko dwie rzeczy są nieskończone: wszechświat i ludzka głupota, choć nie jestem pewien, co do tej pierwszej”. Równowagę zapewniało mi to, czego nauczylem mnie rodzice i dziadkowie oraz ci członkowie mojej rodziny, którzy zawodowo zajmowali się nauką, np. stryj, prof. Jan Żylicz, fizyk jądrowy.

Oni uważali, że, po pierwsze, nie należy oceniać człowieka znajdującego się w sytuacji, której sami nie doświadczyliśmy. Po drugie, trzeba mieć do siebie dystans, pokorę wobec własnych możliwości, a empatię w stosunku do innych. Po trzecie – to zwłaszcza ojciec powtarzał mi wiele razy, gdy angażowałem się w działania opozycji antykomunistycznej: „Jeżeli chcesz wygłaszać tak bezkompromisowe sądy, musisz być bardzo dobry w tym, co robisz, bo w przeciwnym wypadku inni cię zniszczą”. Miał rację. Ta lekcja okazała się bardzo użyteczna.

Z poważną próbą zniszczenia skonfrontował się Pan już w 1982 roku, kiedy wyjechał Pan do USA.

Nie z własnej woli. Po zorganizowaniu i poprowadzeniu na początku stanu wojennego strajku z udziałem studentów i pracowników Uniwersytetu Gdańskiego, ukrywałem się

przez parę miesięcy, działając w podziemnej Solidarności. Prof. Karol Taylor, mój opiekun naukowy, dowiedział się, że grozi mi wieloletni wyrok pozbawienia wolności, którego mogłem uniknąć, wyjeżdżając zagranicę. Wbrew pozorom, wybór łatwy nie był, bo porządni ludzie wtedy nie wyjeżdżali, tylko dawali się zamykać. Wybrałem inaczej. Wyjechałem na staż naukowy do USA, do którego szycowałem się jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego. Jak tylko go zniesiono i wyrok już mi nie groził, w 1984 roku spakowałem się i wróciłem. Wiele osób i za oceanem, i tutaj dziwiło się takiej decyzji. Przecież miałem w USA stanowisko profesora, mimo że dopiero co przekroczyłem trzydziestkę. Do tego znakomite warunki uprawiania nauki, których w żaden sposób nie można było porównać z tym, co czekało na mnie w Gdańsku.

Wróciłem, bo nie miałem wątpliwości, gdzie jest moje miejsce na ziemi. Niemniej, dzięki własnemu doświadczeniu emigracji rozumiem osoby, które pozbawione możliwości uprawiania nauki z powodów ekonomicznych albo politycznych, szukają ich gdzie indziej. Wspomniane już w tej rozmowie szczepionki, które pozwoliły nam opanować pandemię COVID-19, opracowali przecież naukowcy z doświadczeniem migranckim! Dzisiaj tym bardziej nie żałuję powrotu, ponieważ na uniwersytecie w Utah, gdzie spędziłem najwięcej czasu, nie miałbym szans znaleźć tak ciekawych współpracowników, jakich dane mi było poznać w Polsce. Jeżeli udało mi się zrobić w nauce coś wartościowego, to tylko dzięki nim.

Zajmował się Pan m.in. biologią molekularną białek szoku termicznego i pracował nad opisaniem ich roli w procesie powstawania komórek nowotworowych. Jaką cenę Pan zapłacił za zaangażowanie w pracę nad zmianą systemu nauki w Polsce?

Rezygnacji z uprawiania nauki właśnie, tym bardziej, że prowadząc wspomniane badania na UG, m.in. odkryliśmy,

że białka szoku termicznego prowadzą aktywność opiekuńczą wobec innych białek. Do 2015 roku, czyli przez pierwsze dziesięć lat prezesury w FNP, już jako kierownik zakładu w Międzynarodowym Instytucie Biologii Molekularnej i Komórkowej w Warszawie (stanowisko objąłem w 1999 roku po wygraniu konkursu), trzymałem się nauki jak taternik ściany, po godzinach przygotowując się do zajęć dydaktycznych, pisząc publikacje czy starając się o granty. Doglądanie pracy doktorantów było już jednak możliwe tylko dzięki zaangażowaniu mojej żony.

Prof. Alicji Żylicz, biochemiczki.

Gdyby nie ona, odpadłbym od ściany dużo wcześniej. Zrezygnowałem z nauki także dlatego, że wystarczająco napałtrzyłem się w życiu na profesorów, którzy nie potrafili opuścić stanowiska, mimo osiągnięcia wieku emerytalnego. Po przejściu „na drugą stronę”, satysfakcji dostarczały mi eksperymenty przeprowadzane przez ludzi, którzy otrzymali na nie grant z FNP. Zawsze uczestniczyłem w naszych panelach konkursowych, podczas których decydowano o wyborze laureatów. Śledząc później ich rozwój, czy słuchając o sukcesach, czułem taką radość, jakby ich badania były w jakiś sposób i moim udziałem.

Zrezygnowałem jednak z nauki uprawianej samodzielnie i to była chyba jedyna, trudna do przyjęcia konsekwencja mojego zaangażowania w pracę Fundacji. Reszta to były tylko pozytywy.

FNP broni swojej niezależności, bo zdajecie sobie sprawę, że bez tego nie uda się zachować w nauce wolności. Jak rozumieją to pojęcie ludzie, którzy prowadzą badania?

Wolność to możliwość samodzielnego tworzenia. Ona nie tylko wyklucza możliwość zmuszania naukowców, np.

przez urzędników, do określonych działań czy zaniechań. To jest przede wszystkim posiadanie warunków do myślenia o interesującym problemie dzień i noc, bez konieczności rozpraszania się, np. na inne tematy, ale też bez zamarzania o finanse, choćby chodziło o opłacenie kosztów publikacji pracy w dobrym czasopiśmie.

„Nauka jest zazdrosna” – powtarzałem młodym naukowcom, kiedy przynosili mi wyniki pierwszych doświadczeń szczęśliwi, że wyszły tak obiecująco. Po czym przez następne pół roku nie potrafili ich powtórzyć, bo nie wzięli pod uwagę jednego z parametrów. Bo nauka nie tylko nie daje czasu na inne aktywności, ale też nie pozwala na zbyt szybkie radości. Im głębiej wchodzi się w zagadnienie, tym więcej pojawia się wątpliwości, czy interpretacja wyników jest poprawna. Trzeba próbować sfalsyfikować swoją hipotezę, a ostatecznie uznać ją jedynie za wysoce prawdopodobną.

Człowiek, który czuje się wolny, nie ma problemu z przyznaniem się do błędu – to kolejna licząca się w nauce umiejętność. W laboratorium nie potrafiliśmy kiedyś otrzymać wyników opisanych przez innych badaczy. Po roku zmagania okazało się, że to nie miało prawa wyjść, bo one były sfalszowane, wtedy jednak rzuciliśmy wszystkie osoby do eksperymentów, bo podejrzewaliśmy, że to my popełniamy błąd. Było wtedy równie nerwowo, jak czasami podczas rozmów z politykami, zapewniam. Jeśli jednak ma się w sobie poczucie wolności, uznaje się stracony czas oraz zawiedzione nadzieje i opuszcza zautek, w który się zabrnęło.

Fundacja, jeśli przyjrzeć się biografii osób ją zakładających, wyrosła z wolnościowej rewolty lat 80. i z umiejętności prowadzenia rozmowy, bo na tym bazowało powstanie Solidarności oraz budowa wolnego państwa rozpoczęta w 1989 roku. Pana następcą na

stanowisku, prof. Krzysztof Pyrc, miał w roku prowadzenia obrad Okrągłego Stołu, dziesięć lat. Kończy się pewna epoka w historii FNP?

W pewnym sensie tak. Idzie inny czas, kiedy główny głos będzie należał do ludzi w wieku moich dzieci. Oni muszą budować tożsamość na innej historii, stworzyć własne środowisko.

A co nie powinno się zmienić, bo jest w życiu najważniejsze, nie tylko naukowym?

Dla mnie pomoc innym. Moja mama powtarzała: „Jeżeli oczekujesz, że ktoś ci pomoże, kiedy znajdziesz się w potrzebie, najpierw sam musisz pomagać”. I to się w życiu sprawdza, a nawet nadaje mu sens: pomaganie.

Rozmawiała: Anna Mateja

Warszawa, czerwiec 2025 roku